

Od Bydgoszczy do Krasnegostawu Z bronią i bez

Jan Sak. Rocznik 1918. W marcu 1939 roku, po ukończeniu 21 roku życia, wezwany został do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Jak większość jego rówieśników, gospodarskich synów bycha wskiej gminy, marzył o szabellce i koniku. Trafił do piechoty: 45 Pułk Strzelców Kresowych w Równem; kompania szósta, pluton drugi, drużyna pierwsza.

Stało się inaczej

W lipcu poligon. 15 sierpnia — pogotowie wojenne. W trzeciej dekadzie sierpnia przetrwał w okolicy Bydgoszczy. Tam w dalszym ciągu doskonalenie wojskowego rzemiosła, a ponadto kopanie rowów strzeleckich i budowa zasieków z drutu kolczastego.

Po wybuchu wojny cała dywizja sądziła, że za godzinę, dwie wejdzie w bój z nieprzyjacielem. Tymczasem stało się inaczej. Wymarsz do najbliższej stacji kolejowej, załadunek wraz ze sprzętem na wagony i odjazd w kierunku Częstochowy. Ledwie ruszyli, niemieckie samoloty odkryły transport i zaatakowały. Byli pierwsi zabici i ranni. Pod wieczór cały transport dotarł w okolicy Tomaszowa Mazowieckiego. Ze stacji przemarsz do najbliższego lasu i tam zajęcie pozycji obronnych. Będąc na zwiadzie patrolowym z jeszcze jednym żołnierzem, na skraju wsi sąsiadującej z lasem zauważył męczyznę, który swoim wyglądem i zachowaniem wzbudził podejrzenie. Mężczyznę tego aresztowali i rannego, bo próbował uciekać, doprowadzili do sztabu dywizji. Okazał się szpiegiem. Miał przy sobie broń.

Przez Wisłę

Wkrótce na leśne pozycje zaczęły spadać bomby. Rosły straty w sprzęcie i w ludziach. Pod osłoną nocy dywizja opuściła las. Najpierw szła piechota, za nią karabiny maszynowe na taczankach, za nimi armaty. Nikt nie przypuszczał, że w Tomaszowie Mazowieckim, będącym na trasie marszu może być „gorąco”. Wojsko zaskoczone zostało nagłym ogniem karabinów maszynowych, które odezwały się z okien zornbaradowanych i spalonych wcześniej domów. Ponosząc znaczne straty niektóre oddziały przedarły się przez nieprzyjacielską ścianę ogniową niektóre zaczęły się wycofywać. Zapomnął rozgardiasz. On, gdzieś po godzinie, znalazł się nad jakimś stawem w sąsiedztwie miasta. Byli tam też inni. Dowództwo nad całością objął major. Po całonocnym marszu ów major doprowadził grupę do lasu, gdzie była już dywizyjna kawaleria.

W tym lesie spotkał kolegów: Mazurka ze Starej Wsi Rubaja z Karolina. Siedząc pod drzewem zasnęli. Na nogi postawili wszystkich potężne detonacje artyleryjskich po-

cięków, a następnie bombowe naloty. Trudno to opisać. Jakimś wozem pędzącym leśną drogą dotarli na skraj lasu, skąd — jak się okazało — było już tylko kilometr do Wisły. Ten kilometr pokonali prawie klusem. Konie były w pianie. Ale i tu, nad tę drogę prowadzącą do Wisły nadlatywały samoloty i siekły z maszynowych karabinów. Byli celem łatwiejszym niż w lesie. Widzieli, że ratunkiem jest drugi brzeg. Bez koni szansę dostania się na ten drugi brzeg mieli tylko umiający dobrze pływać.

— Moje szczęście, że wychowałem się nad jeziorem. Ryzykowali wszyscy. Rozebrałiśmy się, przywiązaliśmy ubrania do broni i w wodę. Nie wiem ilu dopłynęło, wiem, że prąd poniół nas kilkaset metrów od miejsca startu i że na drugim brzegu wszyscy znaleźliśmy się całkiem nago i bez broni. Ale byliśmy szczęśliwi. Z wyższego brzegu dobrze widzieliśmy jak z lasu, w którym sami niedawno byliśmy ruszyła ku Wiśle nasza kawaleria. Bez zatrzymywania się konie poszły wplaw. Po paru minutach nad miejscem przeprawy pojawiły się samoloty. Z kilkoma kolegami zdążyliśmy już wyłowić z rzeki płynące nią żołnierskie mundury, wykręcić je z wody i nałożyć na siebie. Buty i broń poszły na dno. Zapadał wieczór. Robiło się zimno. Boso, bez koszul i kaletson, ogromnie zziębnięci, dotarliśmy do jakiejś szosy. Tam jakby specjalnie na takich jak my, czekali oficerowie, którzy jednych kierowali na Warszawę, a drugich na Lublin.

Ponownie żołnierzem

Rano byli w Lublinie. Oczywiście bosi, bez broni i nawet czapek. Ale w Lublinie punkt zborny przestał już działać. Skierowano rozbitków do Piaszk, 25 km na wschód, w kierunku Zamościa. Tam otrzymali nowe mundury, broń, trochę do niej amunicji i granaty. Ponownie stali się żołnierzami.

Z Piaszk udali się do Chełma. Tam znajdowało się w tym czasie dużo wojska. Różnego. Zaczęto wszystkich organizować w drużyny, plutony, kompanie i przygotowywać do obrony miasta. Żołnierze dochodzili po mału do siebie, leczyli poparzone od butów nogi. Gasł kolejny wrześniey dzień.

Następnego dnia, do południa, w Chełmie było jeszcze spokojnie. Dopiero po południu nadleciały nad miasto samoloty, rzuciły parę bomb i uciekły. Wieczorem ponownie się zjawily. Było ich trzy. Leciały nisko i siekły z karabinów maszynowych. Ale też obrona przeciwlotnicza spisała się fantastycznie. Wszystkie trzy zostały trafione. Jeden z nich runął tuż przy taborach i spłonął wraz z załogą. Z naszej strony tylko jeden ranny i ciężko poparzony koń. Strącenie aż trzech wrogich samolotów umocniło żołnierzy w przekonaniu, że są coś warte. Cieszyli się tym faktem jak gdyby wygrali już wojnę.

W samym Chełmie gęsto było i wciąż gęstniało od uciekinierów.

— Oczami duszy widzę dwóch mężczyzn — jakby to działo się wczoraj — którzy niemal błagali naszego dowódcę, by przygarnął ich do oddziału, dał broń i pozwolił walczyć. Byli więźniami dopiero wypuszczonymi z chełmskiego więzienia. Niestety! Rozkaz był wyraźny: żadnych obcych do oddziałów nie przyjmować.

Następnego dnia zaraz po śniadaniu otrzymali rozkaz marszu na Krasnystaw. Opuszczając Chełm wierzyli jeszcze w nasze zwycięstwo, choć nie wszyscy.

— Nad ranem mineliśmy las zwany Borkiem i zajęliśmy pozycje obronne niemal na przedmieściu Krasnegostawu. Okopaliśmy się. Prawie 18-godzinny marsz dał się nam we znaki. Byliśmy zmęczeni. Przydałby się odpoczynek i przynajmniej godzina snu. Niestety. Bardzo szybko odkryła nas nieprzyjacielska artyleria, a nieco później przycelowani zostaliśmy do swych stanowisk ogniem karabinów maszynowych. Zaczęła się walka. Nieprzyjaciel też był okopany. Panad ziemią pojawiały się tylko helmy.

Padło nas dużo. Na moim odcinku kilkunastu. Ja zostałem ranny jedynie w palec prawej ręki. Drobna rana, a tak mi później dokuczyla. Większość dostała się do niewoli. Tam też, pod Krasnymstawem, skończyło się moje wojowanie. Później jeszcze była ucieczka z jenieckiej kolumny prowadzonej przez znane mi okolice do stacji kolejowej w Kraśniku, ukrywanie się, „przemundurowanie” i powrót do domu.

To już był październik. Nie może powiedzieć, że jest z siebie dumny, że wszyscy razem dobrze tę partię rozegrali. Bohaterskim snajperem, o czym marzył, nie został. Ale nie jego to wina.

Później była partyzanika.

JÓZEF PORĘBSKI